

GŁOS KATOLICKI

TYGODNIK WYCHODŹSTWA

16-17 (779-780)

WIELKANOC, 18 25 kwietnia 1976

ROK XVIII

NA ZMARTWYCHWSTANIE

O Panie nasz, o Panie nasz,
zwycięski, jaśniejący,
zblíž wyzwolenie głodnych mas,
przybliż ów dzień tętniący,
w którym, jak Ty, dźwignie się lud,
by prawdy nieść wiekowe,
by tam, gdzie dzisiaj fałsz i brud,
wyrosło życie nowe.

By tam, gdzie dzisiaj jęk i ból
skowytem są niedoli,
by tam chłop-władca czarnych pól
na własnej czuł się roli
jak wolny człowiek, który z krwi
historię Polski kuje,
i chociaż pije gorzyc dni,
Polskę w swych piersiach czuje!
Lecz czuje Polskę w ramach Twych,
bo taką walczył przecie:
O dusza ludu! to nie strych
na prochy i rupiecie!

O Panie nasz, co w ranek ów
rozlałeś blasków zorzę,
w świątyniach Twych miliony głów
kornie się gną w pokorze.

Hej, dzwony grają, biją w krąg
nymn wielki ukochania,
i wiosną pachnie już od łók
w dzień Twego Zmartwychwstania.
Miliony próśb i milion skarg
w ten cichy świt się biała,
splywa z poblądłych ludzkich warg
i w przestwór siny wsiąka...

O Panie nasz, o Panie nasz,
zwycięski, jaśniejący,
zblíž wyzwolenie głodnych mas.
przybliż ów dzień tętniący,
by tam, by tam gdzie mrok i cień,
dotarło Twe orędzie,
a Wielka Pieśń wyłodzi dzień
i w sercach płonąć będzie!

Stanisław BUCZYNSKI

Radosne orędzie Wielkiej Nocy



Po upływie szabatu Maria
Magdalena, Maria, matka
Jakuba, i Salome nakupiły
wonnosci, zeby pójść namas-
cić Jezusa.

Wczesnym rankiem, w pier-
wszy dzień tygodnia przysły
do grobu, gdy, stonice wszedł.
A mówily między sobą: "Kto
nam odsunie kamień od wej-
ścia do grobu?" Gdy jednak
spojrzały, zauważyły, że ka-
mien był już odsunięty, a był
bardzo duży. Wszedły więc do
grobu i ujrzały, młodzienca,
siedzącego po prawej stronie
ubranego w białą szatę; i bar-
dzo się przestraszyły. Lecz on
rzekł do nich: "Nie bójcie się.
Szukacie Jezusa z Nazaretu
ukrzyżowanego; **POWSTAŁ,**
NIE MA GO TU. O to miejsce
gdzie go złożyli. Lecz idźcie,
powiedzcie Jego uczniom oraz
Piotrowi: "Idźcie przed wami
do Galilei, tam go ujrzycie,
jak wam powiedział."
One wyszły i uciekły od
grobu, bo dresnęto je bowiem
zdrumienie i przestrasza. Ni-
komu też nic nie oznajmi-
ły, bo się bały. MK. 16, 1-7

Zmartwychwstały

Jeszcze nikt nie sprawił tyle kłopotu wiekom i pokoleniom, co ukrzyżowany Jezus. Byli świadkowie Jego śmierci. Pochodzili oni z Jego wrogów i przyjaciół. Ci ostatni zdejmowali Jego martwe ciało z krzyża. Kładli je do grobu, odstąpionego Jezusowi przez przyjaciela. Były też przychylne niewiasty... Nie zdążyły przed nadejściem szabatu namaścić ciała Ukrzyżowanego. To, czego nie zdążyły uczynić zamierzają dokonać po upływie szabatu. Dlatego „wczesnym rankiem, w pierwszy dzień tygodnia przyszły do grobu” (Mk 16, 2).

Zrezygnowane i zawiedzione w swej nadziei niewiasty śpieszą do grobu. Niosą olejki, by nimi namaścić ciało Zmarłego. Kłopotą się o jedno tylko: kto im pomoże odsunąć grobowy kamień.

A w tę Wielką Noc stało się coś nadzwyczajnego... Ujawniły się niezbadane wyroki Boże: Nocą Słowo ciałem się stało. Nocą stało się też Zmartwychwstanie.

Kłopot niewiast przemienił się w niepokój. Zobaczyły kamień odsunięty. Zajrzały do pustego grobu. Wreszcie weszły do niego. Zamiast ciała Ukrzyżowanego ujrzały Zwiastuna Bożego. Przelektły się... Anioł je jednak uspakaja. Uroczyste ogłasza: Jezus z Nazaretu żyje. Tu leżał, ale ze śmierci przeszedł do ostatecznego chwalebego życia! Przerazenie przeradza się w niedowierzenie... Posłaniec Boży nakazuje niewiastom ogłosić uczniom i Piotrowi tę radosną nowinę. Napomina niewiasty: Więcej wiary! Przypomnijcie sobie, że On o swym zmartwychwstaniu często wam mówił. „Teraz idźcie przed wami do Galilei, tam ujrzecie, jak wam powiedział”.

Tajemnica Wielkiej Nocy urzeczywistniła się zmartwychwstaniem. O tej tajemnicy Ewangelie niewiele mówią. Wskazują tylko na fakt pustego grobu. W grobie nie ma co szukać żyjącego.

Zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa urzeczywistniło zapowiedź Proroka: „Śmiercią twoją będę, o śmierci”. To wołanie podejmie później apostoł Paweł: Gdzież jest, o śmierci, twoje zwycięstwo? (1 Kor 15, 55).

W Świętą, Wielką Noc stała się rzecz niesamowita:

- Pusty grób Ukrzyżowanego!
- Zmartwychwstały Jezus żyje i ukazuje się uczniom!

Żyje życiem chwalebny, żyje chwałą Boga! Nie wrócił do życia jak ci, których wskrzeszał z martwych. Jak Łazarz, córka Jaira i młodzieniec z Naim. Jezus poszedł dalej. „Podjął z grobu i zabrał ze sobą materię, stworzenie i wszechświat. Z sobą: w swoim zmartwychwstałym i chwalebnie przemienionym ciele: tym samym, tożsamym i realnym, ale już nie takim samym. A śmierć już nad Nim władzy nie miała. Nie została odtrącona, jak we wskrzeszeniu Łazarza. W zmartwychwstaniu Jezusa została zniszczona... Rzeczą ostateczną stał się grób pusty na zawsze. To dlatego śpiewamy: Alleluja” (T. Zychiewicz).

Zmartwychwstały Jezus budzi najpierw przerażenie a potem ogromną radość. Widać to u niewiast z Ewangelii Marka: „Nikomus też nie powiedziały, bo się bały” (Mk 16, 8). Potem przyszło uspokojenie i radość. Toteż cieszyły się niezmiernie radością wielką, radością dzieloną. Zaznacza to Ewangelista Łukasz: „Wtedy przypomniały sobie jego słowa i wróciły od grobu, oznajmiły to wszystkim Jedenastu i wszystkim pozostałym” (Łk 24, 8).

Radość dzielona z innymi: „Pan rzeczywiście zmartwychwstał!

W zmartwychwstaniu Jezusa Chrystusa ukryte jest zmartwychwstanie, przemienienie i uwielbienie człowieka i całego wszechświata.

O Dniu Zmartwychwstania myślał Psalmista, kiedy śpiewał:

„Oto dzień, który Pan uczynił:
radujmy się zeń i weselmy” (Ps 117, 24).

Taki dzień uczynił również i nam Pan, kiedy dopuścił do Sakramentu Chrztu świętego. Tam „umarliśmy razem z Chrystusem”, aby „również razem z Nim żyć”. Na chrzcie „umarliśmy dla grzechu a żyjemy dla Boga w Chrystusie” (Rz 6, 8-11).

Chrzest to nie zaszczyt, to obowiązek. Obowiązek życia „chlebem prawdy i czystości” (1 Kor 5, 8). Trzeba na serio brać słowa apostoła Pawła: „Jeśliście więc razem z Chrystusem powstałi z martwych, szukajcie tego, co w górze, gdzie przebywa Chrystus zasiadając po prawicy Boga” (Kol 3, 1).

Wskazówki zegara dziejów ludzkich i wszechświata idą ku godzinie zmartwychwstania. Na razie w trudach i uciśkach żyjemy. Żyjemy jednak wiarą, nadzieją i miłością. A w chwilach rozpaczy i załamań należy pamiętać o słowach Zmartwychwstałego: „Na świecie doznacie ucisku, ale miejcie odwagę: Jam zwyciężył świat” (J 16, 33).

Roman Duda, omi

Pozdrawiam Was wszystkich pełnymi nadziei słowami Zmartwychwstałego Zbawiciela: Pokój wam. Niechaj one napelnia pogodę i radością Wasze umysły i serca na trudnych drogach naszego pielgrzymstwa. Niechaj każdy uswiadomi sobie jak najwyraźniej, że nie jesteście sami, gdyż towarzyszy nam Zbawiciel, który przez swoją Mękę i Zmartwychwstanie zjednoczył nas ze sobą w jedną rodzinę Bożą i prowadzi wśród przeciwności tego świata do osiągnięcia pełni wyzwolenia. Uczestnicząc w Liturgii Kościoła przeżyjcie dogłębnie wielkanocne spotkanie z Chrystusem Zmartwychwstałym doznając gruntownej przemiany wyzwalającej nas mocami Bożymi z ludzką trwogą przez hezgraniczną ufność w moc i dobroć Chrystusa, zwiastującego nam wszystkim Pokój Boży.

Życząc Wam wszystkim z głębi serca Radosnych Świąt i wszelkiego dobra ogarniam Was moimi modlitwami i błogostawię w Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego

Ks. bp Władysław RUBIN
(z Orędzia wielkanocnego 1976)

Cena zwycięstwa

61

Widok krzyża, szczególnie w Wielkim Tygodniu, w brutalny sposób przypomina cały problem cierpienia. Chrystus na krzyżu, to Ktoś, kto potwornie cierpi. On dobrowolnie **przyjął** to cierpienie, aby człowieka wyzwolić z niewoli szatana i grzechu. Więc **kult cierpiącego Chrystusa** jest rzeczą normalną i zbawienną. Jednak kult samego cierpienia — byłby zaprzeczeniem Boga (por.: Z własnej woli, 56). Bóg jest miłością i nie chce cierpienia. Nierozsądnie twierdzą niektórzy, Bóg ukarał Chrystusa za nasze grzechy i na Nim pomścił nasze winy. To byłaby niesprawiedliwość niegodna Boga.

Chrystus z góry był gotów na cierpienie — ale go nie pragnął. Świadczy o tym agonia w Ogrójcu. On przyszedł, aby nas wyzwolić z niewoli szatana. Z góry wiedział, że czeka go cierpienie, bo taka jest natura walki z szatanem, że kto z nim walczy musi być przygotowany na jego uderzenia. Uderzeniami szatana jest cierpienie i zło.

Popatrzmy na tych, którzy walczą o wyzwolenie ojczyzny z niewoli okupanta. Oni chcą wolności swego kraju. Dla tego celu są gotowi cierpieć, a nawet życie oddać. To nie znaczy, że oni pragną cierpienia i śmierci. Podobnie Chrystus. Przyszedł aby stoczyć zwycięski bój ze ZŁEM, to znaczy z szatanem, o wyzwolenie człowieka. Trzeba sobie dobrze uprzytomnić teren tej walki i, że tak powiem, jej technikę.

Terenem walki jest człowiek. Szatan pokonał człowieka w ten sposób, że rozbił jedność postępowania-współpracy człowieka z Bogiem. Człowiek dostał się pod panowanie szatana. Aby go wyzwolić z tej niewoli, Syn Człowieczy musi odnieść zwycięstwo nad szatanem. W tym celu stworzył „nowego człowieka”, a Syn Boży zjednoczył się z nim w jednej osobie Boga-Człowieka. W ten sposób w osobie Boga-Człowieka przywrócona została pierwotna jedność posłuszeństwa-współpracy w osobie Boga-Człowieka, człowieczeństwo stało się instrumentem zbawienia. Bóg-Człowiek podejmujący walkę o wyzwolenie człowieka, we wszystkim (z wyjątkiem grzechu) upodabnia się do człowieka. Solidarnie staje u boku człowieka, gotów znieść te cierpienia na jakie się naraża

każdy człowiek walczący ze ZŁEM o wyzwolenie z niewoli grzechu. Bóg „zesłał Syna swego w ciele podobnym do ciała grzesznego i dla usunięcia grzechu wydał w tym ciele wyrok potępiający grzech” — mówi św. Paweł (Rz 8, 3)

Przedłużając tę myśl przypomnieć trzeba, co już było powiedziane w rozważaniu „Przymierze otwarte, 50”, że po odniesieniu zwycięstwa nad szatanem, Chrystus ustanowił sobie nowe ciało: Ciało Mistyczne — w które może włączyć się każdy kto chce, (jak Chrystus z Jego pomocą) w samym sobie odnieść zwycięstwo nad ZŁEM. Pewność zwycięstwa daje nam trwanie w całkowitej jedności z Chrystusem, bo wtedy On w nas zwycięża Złego Ducha. Terenem walki był i jest człowiek. Z tym jednak, że od chwili Chrystusowego zwycięstwa, człowiek jakim ja jestem ma gwarancję zwycięstwa jeśli całkowicie odda siebie Chrystusowi jako jeden z członków Jego nowego Ciała Mistycznego. Nie zapominajmy jednak, że oddać siebie Chrystusowi — to przyjąć jego warunki: to znaczy Słowo Ojca jakie on nam przekazuje. Tak je przyjmując, jak Apostołowie je przyjęli. Przyjmować je i w czyn wprowadzać za każdym razem, gdy Chrystus do nas przemawia w mszalne Liturgii Słowa. Terenem walki Chrystusa ze ZŁEM jest człowiek.

Metoda, czy technika walki ze złem również ma swoje reguły czy prawa. Aby tę walkę zrozumieć ani na chwilę nie wolno zapomnieć, że chodzi o **wyzwolenie od ZŁEGO**. Tym samym, **ani na chwilę nie można przyjąć zła, nawet jako środka czy sposobu walki**. Kto by przyjął zło, chociażby jako środek walki, tym samym uznałby, że zło jest konieczne, a więc, i wyzwolenie od zła jest niemożliwe.

Walka Chrystusa z szatanem — to walka Dobra ze Złem. Dobro — walczy dobrem, miłością, prawdą. Zło — walczy złem wszelkiego rodzaju: kłamstwem, nienawiścią. Cierpienie wszelkiego rodzaju to „dary” jakie ZŁO przynosi światu. DOBRO zaś — wyzwala od cierpienia i przy nosi szczęście.

Uderzenia szatana, to wszelkiego rodzaju zło. W ten sposób walczył on również z Chrystusem. Ciosy jakie szatan

zadaje Chrystusowi to kłamstwo, nienawiść, zazdrość, obmowa, egoizm i wszelkiego rodzaju inne zło. To ono doprowadziło do zaarrestowania Chrystusa i do kłamliwego sądu, który się skończył Golgotą.

Chrystus zaś po to przyszedł **aby uwalnić człowieka z niewoli szatana i od zła. Nie może więc walczyć złem. Bronią Chrystusa jest dobro.** Na każde uderzenie zła, Chrystus odpowiada jeszcze większym dobrem. Przeszedł przez świat dobrze czyniąc. Cała metoda walki Chrystusa ze ZŁEM jest zawarta w kilku słowach jego: „Miłujcie waszych nieprzyjaciół. Dobrze odczyńcie tym, którzy was nienawidzą. Błogosławcie tym, którzy was przeklinają. Módlcie się za tych, którzy was oczerniają. Jeśli cię ktoś uderzy w policzek — nadstaw mu drugi. Jeśli ci bierzę płaszcz — nie broń mu i szaty” (Łk 6, 27 ns.). Gdy Judasz przyszedł go wydać — On mówi do niego „przyjacielu”. Gdy wrogowie do krzyża go przybili — On się za nich modli. „Ojciec odpuść im bo oni nie wiedzą co czynią” (Łk 23, 34). Najsilniejszym i śmiertelnym ciosem jaki Chrystus zadaje szatanowi — jest miłość bez granic, w odpowiedzi na ciosy nienawiści.

Ten sam sposób walki ze złem zaleca św. Paweł: „Błogosławcie tych, którzy was prześladowają... Nikomu złem za zło nie odpłacajcie... Jeżeli nieprzyjaciół twój cierpi głód — nakarm go. Jeżeli pragnie — napój go. Tak bowiem czyniąc, węglem żarzącym zgromadzisz na głowę jego” (Rz 12, 14 ns.). Dlatego „Nie daj się zwyciężyć złu, ale zło dobrem zwyciężaj” (Rz 12, 21).

Chrystus cierpiał, bo chciał być solidarny z nami i miał ciało do naszego podobne, **podległe cierpieniu — ale nie ZŁU**. W ciele swoim znosił ciosy szatana. Ale szatana który jest Duchem Złym Chrystus pokonał Duchem Dobra i Miłości. Chrystus **nie przyszedł walczyć z cierpieniem — ale z szatanem**, który jest ojcem wszelkiego cierpienia. **Nie przyszedł Chrystus walczyć o dobrobyt, ale o panowanie DOBRA** na ziemi. Gdy już całkowicie pokona ZŁO, a ustali panowanie DOBRA, wtedy wszystko uczyni nowe. Wtedy świat w nowym stanie się przybytkiem Boga z ludźmi.

Ks. Witold Kiedrowski

Le świat KATOLICKIEGO

KS. KARDYNAŁ WOJTYŁA ZAKOŃCZYŁ REKOLEKCJE WIELKOPOSTNE W WATYKANIE

W kaplicy św. Matyldy w Watykanie zakończyły się pięciodniowe rekolekcje wielkopostne, które w tym roku prowadzi dla duchowieństwa rzymskiego ks. kard. Karol Wojtyła, metropolita krakowski. Wygłosił on w języku włoskim 22 nauki rekolekcyjne. W rekolekcjach uczestniczył papież Paweł VI. Metropolita krakowski w swych konferencjach rekolekcyjnych omówił szczególnie zjawiska charakteryzujące współczesny świat: jak niesprawiedliwość i prześladowanie religii. Po ostatniej nauce rekolekcyjnej zabrakł głosu papież Paweł VI, dziękując ks. kard. Wojtyłę za konferencje, z których wszyscy zaangażowani bezpośrednio w służbie Kościoła będą mogli wyciągnąć zjawienne wnioski. Po zakończeniu rekolekcji papież Paweł VI przyjął polskiego kardynała ks. metropolitę Wojtyłę na audiencji prywatnej.

LEGAT PAPIESKI NA KONGRES EUCHARYSTYCZNY

Kard. Robert Knox mianowany został Legatem Papieskim na 41 Międzynarodowy Kongres Eucharystyczny, który odbędzie się w Filadelfii w dniach 1—8 sierpnia br.

FRANCUSKIE ODZNACZENIA DLA POLSKICH KAPŁANÓW

W siedzibie ambasady francuskiej przy Stolicy Apostolskiej w Rzymie odbyła się dekoracja ks. bpa Władysława Rubiną, sekretarza generalnego Synodu Biskupów, orderem komandorskim Legii Honorowej. W imieniu rządu francuskiego dekoracji dokonał ambasador Francji przy Stolicy Apostolskiej. Dziękując za odznaczenie ks. bp Rubin podkreślił swoje związki z Francją, z jej kulturą, a także wskazał na tradycyjne stosunki przyjaźni między Polską i Francją. W uroczystości tej uczestniczyło dwóch kardynałów i siedmiu biskupów, wśród nich był bp Br. Dąbrowski, sekretarz Episko-

patu Polski, przebywający w tym czasie w Rzymie.

Ambasador Francji przy Stolicy Apostolskiej Gerald Amantich udekorował orderem Legii Honorowej wicesekretarza Watykańskiej Rady do spraw Świecików dra Mieczysława Habichta, Polaka. W ceremonii tej uczestniczyło trzech kardynałów kurialnych, kilku biskupów, a wśród nich był Polak ks. bp Andrzej Deskur, przewodniczący Papieskiej Komisji do spraw Środków Masowego Przekazu.

Przyjaciołom,
Czytelnikom
i Współpracownikom
serdeczne życzenia
z okazji
Świąt
Zmartwychwstania
Pańskiego
składa
Głos Katolicki.

PRZECIW KARZE ŚMIERCI!

Biskupi kanadyjscy wypowiedzieli się przeciwko stosowaniu kary śmierci i zapelowali do rządu federalnego o jak najszybsze podjęcie reformy systemu penitencjarnego. Oświadczenie tej treści przedstawił bp G. E. Carter — ordynariusz diecezji London w Ontario i przewodniczący konferencji episkopatu kanadyjskiego.

BEATYFIKACJA O. LEOPOLDA MANDICA

Ks. abp Kucharic, przewodniczący Konferencji Episkopatu Jugostawii, wystosował do wiernych Chorwacji list paster-

ski, zachęcający do wzięcia udziału w beatyfikacji o. Leopolda Mandica, przewidzianej na 2 maja br. Pragnieniem Episkopatu Chorwacji jest zorganizowanie z tej okazji pielgrzymki do Rzymu. „Mamy nadzieję — pisze abp Kucharic — że wierni chorwaccy przebywający za granicą również przyłączą się do tej naszej pielgrzymki”.

„DZIEŃ AFRYKI”

Belgijski Kościół Misyjny uczcił Dzień Afryki, który od 10 lat obchodzony jest w różnych krajach katolickich. Kościół belgijski pamiętając o więzach łączących go w przeszłości z Afryką Środkową, szczególnej pomocy udziela Zairowi, Rwandzie i Burundi. Od 1959 r. episkopat belgijski przeprowadza zbiórki pieniężne przeznaczone na ten cel. W 1960 roku powstała Katolicka Fundacja stypendiów dla Kongoleńczyków, która od 1963 r. zmieniła swą nazwę na Fundację Katolicką stypendiów dla Afrykanów.

DAŁ DLA „DON ORIONE”

Kard. Albino Luciani, Patriarcha Wenecji zapowiedział sprzedaż złotych i srebrnych przedmiotów kultu nie posiadających wartości historycznej. Pieniądze uzyskane z tej sprzedaży przekazane zostaną do ośrodka „Don Orione” zajmującego się opieką nad umysłowo chorymi. Sam patriarcha Wenecji ofiarował pektorali i łańcuch, które należały do Piusa XII, a następnie zostały mu ofiarowane przez Papieża Jana XXIII.

PRZECIW ZBROJENIOM

Biskupi holenderscy opublikowali list pasterski, w którym wypowiadają się przeciwko coraz większym zbrojeniom w krajach wysoko uprzemysłowionych. Dokument ten informuje, że poczynszy od lat sześćdziesiątych wydatki zbrojeniowe wzrosły dwukrotnie i wynoszą obecnie 250 mld dolarów. 80 proc. tej sumy przypada na kraje wysoko uprzemysłowane.

Za naszą i waszą wolność

Rozdział II

JAN DOLECKI

I

Armia polska we Francji nie była dziełem przypadku, ale wyrazem zdecydowanej woli szerokich mas społeczeństwa emigracyjnego, które na zew gen. Sikorskiego odpowiedziało spontanicznym zrywem, rzadko spotykanym w historii. Mimo oddalenia od kraju i częstokroć uzasadnionego żalu do Macierzy, emigranci polscy owiani byli jedną myślą i jednym uczuciem: pomścić krzywdę wyrządzoną Ojczyźnie i przywrócić jej wolność. W tym momencie wszystkie skupiska emigracyjne wykazały zgodność poglądów i poczucie solidarności z krajem ojczystym. Nikt, kto czuł się Polakiem, nie pozostał obojętny na głos uciemiężonej Matki-Polski. Było powszechne zdanie, że Polska jest męczennicą narodów, cierpiącą i ginącą za wszystkie piękne hasła i ideały XX wieku.

W dniu 9 września 1939 r. podpisano umowę polsko-francuską, na mocy której została utworzona armia polska we Francji. Już w pierwszych dniach po ogłoszeniu umowy konsulaty i biura werbunkowe zapełniają się ochotnikami, pragnącymi zaciągnąć się do Wojska Polskiego. Cała emigracja ogarnięta była powszechnym zapalem patriotycznym i wolą walki ze zniechodzonymi wrogami. Jako centralny punkt zborny tej tworzącej się armii, władze francuskie oddały obóz ćwiczebny w Coëtquidan, w Bretanii. Tam też kierowano wszystkich ochotników z całej Francji i Belgii. Obóz w Coëtquidan stał się kolebką odrodzonego wojska polskiego na Zachodzie. W miesiąc później została ogłoszona powszechna mobilizacja wszystkich mężczyzn-Polaków zdolnych do noszenia broni. Spodziewano się, że po tym poborze armia polska osiągnie liczbę wyższą niż 100 tysięcy, jednak nadzieja ta nie spełniła się. Władze francuskie zawierając umowę, wyraźnie oświadczyły, że nie mogą dopuścić do osłabienia produkcji gospodarczej, w szczególności w górnictwie i rolnictwie, w których to dziedzinach Polacy stanowili istotny czynnik roboczy. W rezultacie zamiast ponad 100 tysięcy armii, do wojska polskiego przyjęto zaledwie 60 000. Do armii emigracyjnej zgłaszali się stopniowo napływający różnymi drogami oficerowie, podoficerowie i żołnierze z kampanii wrześniowej z Polski, oraz z Rumunii, Węgier i innych krajów, gdzie żołnierze ci byli internowani. Przybyło ich do Francji ponad 30 000. Wiosną 1940 r. armia ta osiągnęła liczbę 90 000 i na podstawie dodatkowej umowy z dnia 4 stycznia 1940 r. została uznana w pełni za samodzielną armię polską, pod polskim dowództwem. W tym też okresie powstają znane formacje wojskowe, jak: Brygada

Podhalańska, 1 Dywizja Grenadierów, 2 Dywizja Grenadierów, Brygada Pancerno-Motorowa i inne jednostki, których trzonem jest zawsze element emigracyjny.

W trudzie i mozole powstawała ta armia polska. Potrzeba było różnorodną masę robotników, chłopów i inteligentów, przybrać w mundury, przeszkolić, zespolić i podporządkować wojskowej dyscyplinie. Nie zawsze instruktor wojskowy z Kraju umiał trafić do serca i mózgu swoich braci-emigrantów. Na codzień nie zawsze znajdowano wspólny język, mimo, że wszyscy byli Polakami. Pycha i fałszywa ambicja odstraszały ludzi. Emigranci czuli się we Francji, jak w swojej przybrancji ojczyźnie, bo znali język, warunki i swoje otoczenie. Nowi przybysze górowali częstokroć wykształceniem i doświadczeniem wojskowym, uważając się tym samym za coś lepszego. Stąd powstały żale, kłótnie, niechęci i rozgorvczenia, a często i wypadki niesubordynacji. Jednak duch zapędu i walki brał górę nad tymi drobiazgamiz życia codziennego.

Wiosną 1940 r. wyrusza na obronę Norwegii przed najazdem niemieckim, Brygada Strzelców Podhalańskich pod dowództwem gen. Szyszko-Bogusza, która uczestniczy w wielkiej bitwie o Narwik. W bitwie tej okryli się nieśmiertelną chwałą polscy ochotnicy z Francji i Belgii, stanowiący główną część Brygady. Wielka bitwa o Narwik zakończyła się zwycięstwem sprzymierzonych. Niemcy jednak, mimo utraty portu, nadesłali nowe posiłki, tak że wkrótce wojskom sprzymierzonym nakazano odwrót. Brygada Strzelców Podhalańskich wyładowała znowu w porcie Brest i natychmiast została skierowana na nowy odcinek frontu. Niemcy bowiem w błyskawicznym i niespodziewanym ataku zajęli Holandię i Belgię, i okrążając linię Maginota, wkroczyli na ziemie francuskie. Było to w maju 1940 r.

Na nic się zdały bohaterские wysiłki Polaków i Francuzów. Niemieckie dywizje pancerne i motorowe przy pomocy potężnego lotnictwa wskajają się na teren Francji. Zacięte walki prowadzi 1 Dywizja Grenadierów dowodzona przez gen. Duchą. Od 11 do 13 czerwca trwa nieustanny atak niemiecki na pozycje polskie. Najkrwawsze walki stoczyła Dywizja na kanale Marna-Ren, a w szczególności pod miejscowościami Lagarde i Vancour, gdzie zginęło ponad 6 000 Polaków, zadając jednocześnie Niemcom wielkie straty. Pozostali żołnierze tej Dywizji starali się małymi grupkami przebić przez pierścień wroga i wydostać się z matni.

Druga Dywizja Strzelców Pieszych dowodzona przez gen. Prugar-Ketlinga moczje się z naporem niemieckim w Wogezach, w okolicach Belfortu. Po przełamaniu frontu francuskiego Dywizja ta zostaje odcięta. Przez dwa dni trwają mordercze walki w Montbeliard i na wzgórzach Clos du Doubs. W walkach tych Niemcy ponieśli również ogromne straty, ale i Dywizja ucierpiała niemało. O dalszych już walkach nie było mowy. Niemcy zajmowali Francję w błyskawicznym tempie. W zwartym szyku Dywizja przekroczyła granicę szwajcarską i złożyła broń, wybierając internowanie w kraju neutralnym niż niewolę w kraju wroga.

(ciąg dalszy nastąpi)

S K A R B

Na plebanię przyszedł Chudy, młody eks-partyzant, który w tamtych latach służył Pepponowi za łącznika, a teraz pełnił funkcję gońca w urzędzie gminnym. Przyniósł wielką ozdobną kopertę z najlepszego papieru z gotyckim nadrukiem głoszącym, że pismo pochodzi od partii.

Szanowny Pan proszony jest o zaszczytowanie swoją obecnością uroczystości o charakterze społecznym, która odbędzie się jutro o godzinie 10 rano na Placu Wolności. Sekretarz Sekcji towarzyszy Bottazzi Giuseppe.

Don Camillo popatrzył na Chudego.

— Powiedz panu towarzyszowi Peppone, wójtowi Giuseppowi, że nie mam najmniejszej chęci przychodzić, żeby nasłuchać się tych co zawsze bzdur o reakcji i kapitalizmie. Umiem je już na pamięć.

— Nie — wyjaśnił Chudy. — Nie będzie żadnych przemówień politycznych. Cała rzecz będzie patriotyczna i społeczna. Jeżeli ksiądz odmówi, to znaczy, że ksiądz nic nie rozumie z demokracji.

Don Camillo z powagą pokiwał głową.

— Skoro tak się rzeczy mają — oświadczył — nic już nie mówię.

— Dobra. Szef mówi, żeby ksiądz przyszedł w mundurze i ze sprzętem.

— Ze sprzętem?

— Tak, z kufelkiem i pędzlem: trzeba będzie coś tam pokropić.

Chudy przemawiał w tym tonie do don Camilla właśnie dlatego, że był sobą, Chudym, czyli że dzięki swojej szczerzej posturze i swojej istic diabelskiej zwinności w walkach partyzantskich potrafił prześlizgiwać się między latającymi kulkami bez draśnięcia. To też i teraz, kiedy gruba książka ciśnięta przez don Camilla znalazła się w miejscu, w którym powinna się znajdować głowa Chudego, ten był już za drzwiami i naciskał pedały roweru.

Don Camillo wstał, podniósł książkę i poszedł się wyzaliczyć przed Chrystusem z ołtarza.

— Panie Jezu — powiedział — czy to możliwe, żeby nie dało się jakoś wynuchać, co za hecę kombinują ci faceci na jutro? Jak żyję, nie trafiło mi się coś

równie tajemniczego. Co znaczą wszystkie te przygotowania? Te zielone gałęzie powitykane w ziemię dokoła łąki między aptekę a domem Baghettich? Cóż to za nowe diabelstwo się szykuje?

— Mój synu, gdyby to było naprawdę diabelstwo, to po pierwsze nie robiliby tego tak otwarcie, a po drugie nie prosiliby ciebie o błogosławieństwo. Zdobądź się na cierpliwość do jutra.

Wieczorem don Camillo poszedł rzuścić okiem, ale nie zobaczył nic oprócz zieleni i girland porozwieszanych wokół łąki. Nikt nic z tego nie rozumiał.

Kiedy nazajutrz wyruszył w asyście dwóch ministrantów, nogi się pod nim trzęsły. Czuł, że coś tu jest nie w porządku. Kryje się tu zdrada.

Wrócił po godzinie, wzburzony, dygocący jak w febrze.

— Co się stało? — zapytał Chrystus z ołtarza.

— Coś, od czego włosy stają dęba na głowie — wybełkotał don Camillo. — Okropność. Orkiestra, hymn Garibaldiiego, mowa Peppone i położenie kamienia węgielnego pod Dom Ludowy. I ja musiałem ten kamień poświęcić. Peppone aż pękał z uciechy. Ten Jobuz poprosił mnie, żebym powiedział parę słów, no i musiałem pałać mówkę o łącznościową, bo wprawdzie to jest przedsięwzięcie partyjne, ale fajdak przedstawił cały kram jako robotę publiczną!

Don Camillo przeszedł się tam i na powrót po pustym kościele, po czym znów stanął przed Chrystusem.

— Bagatelka! — wykrzyknął. — Sala zebrań, czytelnia, biblioteka, sala gimnastyczna, ambulatorium i teatr. Dwupiętrowy drapacz chmur, a przy nim boisko sportowe i plac do gry w kulki. Wszystko za skromną sumkę dziesięciu milionów.

— Nawet niedrogo przy obecnych cenach — zauważył Chrystus.

Don Camillo opadł bez sił na ławkę.

— Panie Jezu — westchnął żałośnie.

— Czemuś mi uczynił taki despekt?

— Don Camillo, bredzisz!

— Nie, nie bredzę. Od dziesięciu lat błagam Cię na kolanach. Panie, żebyś mi dopomógł zdobyć trochę grosza na

założenie małej biblioteczki, na urządzenie sali zabaw dla dzieci starszych i ogródka dla maluchów z karuzelą i huśtawką, i może małym basenikiem kąpielowym, takim jak w Castellinie. Od dziesięciu lat wdzięczę się i przemaszuję do tych świńskich skner, tych bogaczy, których mam chętkę spruć po gębach, ilekroć ich spotykam. Urządziłem ze dwieście loterii i pukałem do dwóch tysięcy drzwi i nic nie wskórałem. A tu przychodzi taki bezbożny łobuz i oto dziesięć milionów spada mu z nieba.

Chrystus potrząsnął głową.

— Nie spadły mu wcale z nieba — rzekł. — Znalazł je sobie na ziemi. Ja nie mam z tym nic wspólnego, don Camillo. To owoc jego osobistej inicjatywy.

Don Camillo rozłożył ręce.

— W takim razie sprawa jest prosta: znaczy, że jestem durniem i niedołęgą.

Don Camillo wrócił na plebanię i pomrukując wściekle chodził po swoim pokoju. Wykluczył z góry przypuszczenie, że Peppone zdobył dziesięć milionów ograbiając ludzi na drogach albo rozpruwając kasę pancerną w banku. Raczej w dniach wyzwolenia, kiedy wrócił z gór i zdawało się, że rewolucja proletariacka jest tuż-tuż, wykorzystał pietra zastrachanych panów i wyciągnął od nich forszę.

Ale zaraz don Camillo uprzytomnił sobie, że w owych dniach na miejscu nie było ani jednego z okolicznych panów, był natomiast oddział angielski przybyły razem z ludźmi Pepponea. Angolicy rozstasowali się w domach bogaczy, zajmując miejsce Niemców, którzy przez długi czas grasowali w okolicy i zdążyli systematycznie oczyścić pańskie siedziby ze zwszyskiego, co miało jakąś wartość. Było więc nie do pomyślenia, żeby Peppone zgromadził dziesięć milionów metodą szabru.

— Panie Jezu — błagał don Camillo, wróciwszy na koniec przed ołtarz — nie mógłbyś mi powiedzieć, skąd Peppone wyrzebał tę forszę?

— Don Camillo — odpowiedział z uśmiechem Chrystus — bierzesz mnie za detektywa? Po cóż pytać Boga, jaka jest prawda, jeżeli tę prawdę nosisz w sobie? Poszukaj jej, don Camillo. A na razie — czemu nie miałbyś wybrać się do miasta, żeby się trochę rozerwać?

Następnego wieczora, wróciwszy z wyprawy do miasta, don Camillo stanął przed Chrystusem niesłuchanie podniecony.

— Cóż ci się przydarzyło, don Camillo?

— Coś zupełnie szalonego — wykrzyknął don Camillo, zdyszany z przejęcia. — Spotkałem nieboszczyka! Nos w nos, na ulicy!

— Don Camillo, uspokój się i zastanów: zazwyczaj tacy zmarli, których się spotyka chodzących po ulicy, to po prostu żywi.

— Niepodobieństwo! — krzyknął don Camillo. — Ten musiał być absolutnie umarły, skoro ja sam odprowadziłem go na cmentarz!

— W takim razie — odparł Chrystus — nie już nie powiem. Widocznie to duch.

Don Camillo wzruszył ramionami.

— Ale skąd! Duchy istnieją tylko w śniegach głupich babek.

— A więc?

— No właśnie — mruknął don Camillo.

Don Camillo postarał się zebrać myśli. Ten zmarły był to chudy młody chłopak, nietutejszy, który przyszedł z gór razem z ludźmi Peppone. Był ranny w głowę, było z nim źle, położyli go na parterze w willi Docchoich, gdzie nieścisło się najpierw dowództwo niemieckie, a potem angielskie. W pokoju przyległym do pokoju chorego Peppone zorganizował swoją główną kwaterę.

Don Camillo pamiętał doskonale: wila była otoczona potrójną linią wart i nawet mucha nie mogłaby się tam dostać ani wydostać, bo niedaleko trwały jeszcze walki, a Anglicy już są tacy, że bardzo troszczą się o własną skórę.

Działo się to rano. Tej właśnie nocy ranny chłopak umarł; Peppone posłał po don Camilla koło północy, kiedy prosił przyszedł, chłopiec był już zimny. Anglicy nie chcieli mieć w domu nieboszczyków, toteż jeszcze przed południem trumna okryta trójkolorowym sztandarem opuściła dom na barkach Peppone i jego trzech najbardziej zaufanych ludzi: uzbrojony oddział Anglików, ładnie to z ich strony, oddał honory wojskowe.

Don Camillo pamiętał, że pogrzeb był prawdziwie wzruszający: cała wieś kroczyła za trumną wiezioną na ławecie armaty.

A mowę na cmentarzu, zanim trum-

nę spuszczone do grobu, wygłosił on sam, don Camillo, i ludzie płakali. Peppone, stojący w pierwszym rzędzie, szlochał także.

— Jak się postaram, to umiem dobrze mówić — powiedział sobie don Camillo z zadowoleniem, wspomniawszy ten epizod. Po czym podjął przerwany logiczny wątek swoich myśli i zakończył:

— A z tym wszystkim mógłbym przysiąc, że ten chudy młody człowiek, którego spotkałem wczoraj w mieście, to ten sam, którego wtedy pochowałem.

Westchnął.

— Takie jest życie.

Na drugi dzień don Camillo odwiedził w warsztacie Peppone, który majstrował coś, leżąc plackiem pod samochodem.

— Dzień dobry, towarzyszu wójcie. Przyszedłem ci powiedzieć, że od dwóch dni wciąż tylko rozmawiałem o projekcie twojego Domu Ludowego.

— No i jak się on księdzu widzi? — zapytał drwiąco Peppone.

— Wspaniały. To mnie zachęciło, żeby też nareszcie zrealizować projekt skromnego lokaliku z basenem, ogródkiem, placem zabaw, teatrzykiem itede, który, jak ci wiadomo, od tylu lat chodzi mi po głowie. W przyszłą niedzielę zamierzam położyć kamień węgielny. I bardzo bym chciał, żebyś przyszedł i ty, jako wójt.

Peppone wygramolił się spod wozu i otarł rękawem umorusaną smarami twarz.

— Chętnie: grzeczność za grzeczność.

— Doskonale. Doskonale. A w międzyczasie pomyśl, jakby się dało skurczyć co nieco projekt twojego domu. Jest za duży jak na mój gust.

Peppone patrzył osłupiały.

— Don Camillo, czy ksiądz oszalał?

— Nie bardziej niż wtedy, kiedyś odprawiał egzekwie i wygłosił patriotyczną mowę nad trumną, która musiała być niezbyt szczelnie zamknięta, skoro wczoraj spotkałem nieboszczyka spacerującego po mieście.

Peppone zazgrzytał zębami.

— Co tu ksiądz insynuuje?

— Nic. Tylko tyle, że ta trumna, przed którą Anglicy prezentowali broń, a ja ją pokropiłem pełną była łupów ukrytych w piwnicy willi Docchich, gdzie przedtem stało dowództwo niemieckie. A nieboszczyk, żywy, schowany był na strychu.

— Ach! — ryknął Peppone. — Wczynie to samo. Usiłuje się znieśliwić ruch partyzancki.

— Daj spokój partyzantom, Peppone. Nie o to chodzi!

I poszedł sobie zostawiając Peppone, który mrucał jakieś niejasne pogroźki.

Tegoż wieczora don Camillo zobaczył go w drzwiach plebanii, w asyście Ostrego i dwóch innych znanych aktywistów. Tych samych, którzy nieśli trumnę.

— Ksiądz — rzekł ponuro Peppone — nie ma o co nas oskarżać. To wszystko było zrabowane przez Niemców: srebra, aparaty fotograficzne, figurki, złoto i tak dalej. Gdybyśmy tego nie wzięli my, wzięliby Anglicy. A to był jedyny sposób, żeby to wynieść. Tutaj mam wszystkie pokwitowania i zaświadczenia: nikt nie tknął ani jednego lira. Dziesięć milionów się z tego wyciągnęło i dziesięć milionów zostanie wydane dla dobra ludu.

Ostry, który był tak zapalczywy, zaczął krzyścić, że to szczerza prawda i że on w razie czego będzie wiedział, jak potraktować pewnych ludzi.

— Ja również — odpowiedział spokojnie don Camillo. I pozwolił opasać gazetec, którą trzymał przed sobą rozpostartą, a wtedy okazało się, że pod prawą pachą trzyma mocno przyciśnięty do boku ów sławetny pistolet maszynowy, który niegdy był w posiadaniu Peppone.

Ostry zbłądł i cofnął się gwałtownie do tyłu, a Peppone rozłożył ręce.

— Don Camillo, myślę, że nie ma o co się kłócić.

— Ja też tak myślę — odparł don Camillo. — Tym bardziej, że się z wami zgadzam co do joty: dziesięć milionów było i dziesięć milionów musi być użyte dla dobra ludu. Siedem milionów na wasz Dom Ludowy, a trzy na moją świetlicę-ogródek dla dzieci ludu. Sinite parvulos venire ad me: ja domagam się tylko mojej części.

Tamci czterej naradzali się chwilę po cichu, po czym Peppone rzekł:

— Gdyby ksiądz nie miał tego przekłętego narzędzia w rękę, powiedziałbym, że to najpaskudniejszy szantaż na świecie.

Następnej niedzieli wójt Peppone na czele władz gminy uczestniczył w uroczystości położenia kamienia węgielnego pod budowę świetlicy-ogródka don Camilla. Wygłosił także przemówienie.

tlum. Barbara SIEROSZEWSKA

MARECZEK I DŁUGIE SPODNIĘ. Mareczek dostał pierwsze w życiu długie spodnie. Jest niestęchany dumny, ciągle przegląda się w lustrze i wreszcie zwraca się do mamy:

— Mamusiu, czy teraz będę mógł mówić tatusiowi po imieniu?

NA EGZAMINIE... Profesor zwraca się do studenta:

— Na egzaminie, mój panie, jak w teatrze. Pan jest aktorem, a ja widzem.

— W takim razie może pan profesor pozwoli, że skorzystam z pomocy suflera?

PRZEKONYWUJĄCE ARGUMENTY. W sali tureckiego Medżilisu (parlamentu) spowodowano poważne szkody — zniszczono bowiem kosztowną aparaturę telewizyjną. Nastąpiło to nie na skutek trzęsienia ziemi, pożaru czy powodzi. Zdemolowali ją deputowani do parlamentu podczas burzliwej dyskusji nad budżetem państwa. Zaczęło się od tego, że przedstawiciel Partii Ludowo-Republikańskiej Paydas kopniakiem i kulakami „usunął” z trybuny deputowanego Partii Sprawiedliwości Elverdy’ego. Do awantury włączyli się obrońcy obu deputowanych i wywiązała się tak zacięta bójka, że pomiędzy poszczególnymi uczestnikami omal nie doszło do wymiany strzałów. W rezultacie — trzy osoby raniono, kilku deputowanych zostało posiniaczonych, a na dodatek zdemolowano ową najnowszą aparaturę telewizyjną.

„CONCORDE” NA GŁOWIE. Samolot naddźwiękowy „Concorde” spowodował londyńskiego fryzjera, Roy Carmell do zaprojektowania nowej fryzury „Superjet in Flight” (superodrzutowiec w locie). W czasie pokazu fryzjerskiego w Londynie zaprezentowała tę fryzurę 17-letnia Loraine McReight. Przygotowanie całej fryzury trwało trzy i pół godziny. Dla porównania: tylko trzy kwadransy więcej potrzebował „Concorde” w swoim dziewiczym rejsie na przebiecie trasy z Londynu do Bahreinu nad Zatoką Perską. Tymczasem podnosi się coraz więcej głosów, żeby zlikwidować linię do Bahreinu, gdyż samolot, który może pomieścić 100 pasażerów, przewozi przeciętnie około 35.

W momencie zmartwychwstania nikt Jezusa nie widział. Żaden też z ewangelistów nie mówi, w jaki sposób wyszedł On z grobu; jeden tylko zaznacza, iż wyjście to dokonało się w ten sposób, że okrążył kamień, którym zagrodzone było wejście do grobowca, nie został poruszony, chociaż samemu zmartwych wstaniu towarzyszyły niezwykle zjawiska: „A oto stało się wielkie trzęsienie ziemi. Anioł bowiem Pański zstąpił z nieba i przystąpiwszy odsunął kamień i usiadł na nim. I było wejrzenie jego jako błyskawica, a szata jego jako śnieg” (Mt 28, 2-3). Kamień więc został odsunięty przez anioła, ale grobowiec był już pusty i właśnie dlatego kamień, jako zupełnie niepotrzebny, został usunięty.

Wszyscy czterej ewangelisci twierdzą, że fakt, iż grobowiec był pusty, został odkryty wczesnym rankiem w niedzielę. Żołnierze, których Sanhedryn postawił na straży, stali przy grobie od dnia poprzedniego, a nowego ranka mu sieli być tam jeszcze i pokładający się na ziemi posnęli. Wstrząs ziemi, a następnie widok anioła oraz owalny głos tak dalece ich przestraszył, że nie namyślając się wiele rzucili się do ucieczki szukając schronienia w znajdującej się niedaleko bramie miasta. Znalazłszy się w pobliżu mieszkań ludzkich i ochłonawszy nieco zorientowali się, że ucieczka ich była po prostu dezercją, którą wedle wojskowego prawa rzymskiego karało się niezwykle surowo (por. *De bello Iud. V, 482*). Zaczęli więc obmyślać, jak z tego wyjść cało. Doszli też wkrótce do wniosku, że najlepiej będzie udać się do członków Sanhedrynu, którzy w całej tej sprawie byli najbardziej zainteresowani. Poszli zatem wprost do nich.

Grobowiec nie pozostał opuszczony zbyt długo. Z daleka ukazała się grupa kobiet, które szły z miasta w kierunku grobu. Były to te same niewiasty, które w piątek wieczorem przygotowywały wonności, by lepiej jeszcze namaścić zwłoki, skoro tylko minie obowiązek spoczynku sobotniego. W grupie tej, według łącznych danych ewangelistów, znajdowały się: Maria Magdalena, Maria, matka Jakuba, Salome, Joanna, „i inne z nimi” (Łk 24, 10). Co do czasu, w którym te pobożne niewi-

sty przyszły do grobowca, Marek mówi dość dziwnie, że „bardzo rano w pierwszy dzień tygodnia (a więc w niedzielę) przyszły do grobu, gdy już wzeszło słońce” (16, 2). Na pierwszy rzut oka te dwa wyrażenia: „bardzo rano” i „gdy już wzeszło słońce” wydają się trudne do pogodzenia, ponieważ wyrażenie pierwsze odnosi się zwykle do brzasku, czyli do godziny mniej więcej czwartej rano, a drugie mówi już o czasie późniejszym, w każdym razie nie wcześniejszym niż godzina szósta. Jest to jednak jeden z wielu wypadków specyficznego, surowego stylu Marka, który w tym zdaniu wyraził swoje myśli bardzo zwięźle. Wszystko jest jasne i zrozumiałe, jeśli się doda jeszcze jedno słowo, które w zdaniu tym tkwi ukryte; należy więc czytać: „Bardzo rano... (szły do grobu i) przybyły... gdy już wzeszło słońce”. Prawda, że droga do grobowca nie była daleka, ale przy czynię, dla której niewiasty owe zużyły aż tyle czasu, by tam dotrzeć, podaje sam Marek; mówi on mianowicie, że teoż jeszcze ranka, nakupiły wonności, aby pójść i namaścić go”. Ich miłość do Jezusa nie zadowolona się tym, co mogły przygotować jeszcze w piątek wieczorem. Niektóre z nich chciały na własny rachunek dołożyć jeszcze do zgromadzonych zasobów, a zakupienie tych rzeczy wymagało pewnego czasu.

To typowe niewieście opóźnianie się było zbyt trudne do zniesienia dla Marii Magdaleny, która miała najbardziej impulsywny charakter i pełna była największego oddania. Jan Ewangelista mówi tylko o niej, a synoptycy wymieniają ją wśród niewiast jako pierwszą. Zostawiła więc ona w pewnym momencie swoje towarzyszkę, zbyt opóźniając się z powodu zakupów i przygotowań, a idąc za głosem serca pobiegła sama do grobu. Przybyła tam, jak mówi Jan zgodnie z pierwszym określeniem czasowym Marka, rankiem, gdy jeszcze był mrok” (J 20, 1). Ale to, co zobaczyła, zaniepokoiło ją bardzo. Nie wiedziała nic o tym, że w sobotę postawiono przy grobie strażników, dlatego nie zdziwiła jej ich nieobecność, ale zauważyła, że okrążył kamień został odsunięty, a wejście do grobu stoi otworem. Być może, że powodowana niepo-

kojem podeszła aż do samego wejścia; wystarczyło jedno spojrzenie, by przekonać się, że grób był pusty.

Co się stało? Kto mógłby jej to wytłumaczyć? Oczywiście nie jej towarzyszy, które rozbiegły się po mieście w poszukiwaniu wonności i opóźniły swoje przwycie. Należało zwrócić się do apostołów. Oni, a zwłaszcza Piotr i Jan, powinni wiedzieć, jak się to stało, że grób jest otwarty, a zwłoki zabrane. „Pobiegła przeto i przysłała do Szymona Piotra i do drugiego ucznia, którego młował Jezus, i rzekła im: Zabrano Pana z grobu, a nie wiemy, gdzie go położono” (J 20, 2). Wyrażenie tego zapytania w liczbie mnogiej jest doskonałym łącznikiem między opowieścią Jana z relacjami synoptyków. Oni bowiem mówią o wielu niewiastach, które udały się do grobu, Jan zaś wspomina tylko o Marii Magdalenie, ale wkłada w jej usta to „nie wiemy”, które jest potwierdzeniem opowieści synoptyków*. Maria bowiem mówi tu także w imieniu opóźniających się towarzyszek.

Tymczasem niewiasty te nakupiwszy potrzebnych wonności skierowały się ku grobowi. Podczas drogi przysłała im na myśl nowa trudność, o której przedtem nie pomyślały: „A mówiły do siebie: Któż nam odsunie kamień od drzwi grobowca?” (Mk 16, 3). Wiemy już, że te okrągłe kamienie były wielkie i ciężkie, nic więc dziwnego, że niewiasty nie mogłyby same odtoczyć głazu sprzed grobu Jezusa. Ale gdy przwbyły już bliżsko, „spoirzawszy ujrzaly odsunietv kamień. Był bowiem bardzo wielki” Zdziwione nie mniej od Marii Magdaleny, ale nie tak gorliwe jak ona, „wszedłszy do grobowca, ujrzaly młodzieńca siedzącego po prawej stronie, ubranego w szate białe, i zdumiały się”. Łukasz powiada, precyzując, że ukazali się im „dwaj mężowie w szatach ślniacych” (Łk 24, 4).

Młodzieniec, o którym mówi Marek, tak odezwał się do niewiast: „Nie lekajcie się, szukacie Jezusa Nazareńskiego, ukrzyżowanego: powstał, nie masz go tu, oto miejsce, gdzie go złożono. Ale idźcie, powiedzcie uczniom jego i Piotrowi, że was uprzedza do Galilei” (Mk 16, 6-7; por. Mt 28, 5-7). Podobnie tam go ujrzycie, jako wam powiedział”

* Mateusz, Marek, Łukasz.

zdanie, ale bardziej rozwinięte, szczególnie co do ostatniej myśli, padło z ust owych dwóch mężów, o których pisze Łukasz. Skutek tych słów jest różny u różnych ewangelistów. Marek mówi, że niewiasty „uciekły z grobowca, zdjął je bowiem strach i przerażenie, i nikomu nic nie mówiły, lękały się bowiem”. Tym słowem „bowiem” urywa się raptownie opowieść Marka i na nim kończy się cała Ewangelia. Krótki dodatek nie łączy się już z tym, co powiedziano wyżej. Łukasz zaś mówi, że owe niewiasty „wróciwszy od grobu, oznajmiły to wszystko owym jedenastu i wszystkim innym”, co też potwierdza Mateusz.

Najprawdopodobniej opis Marka dotyczy tylko pierwszego wrażenia niewiast, które w przerażeniu najpierw zamilkły. Ale gdyby ten opis zamiast nieoczekiwanej przerwy miał swój ciąg dalszy, wówczas Ewangelista na pewno dodałby jakieś wyjaśnienie, które mówiłoby o tym, że niewiasty otrząsnąwszy się z pierwszego wrażenia uczyniłyby tak, jak piszą dwaj inni synoptycy. Zresztą wiadomość, którą miały zakomunikować apostołom, nie miała ich zbyt dobrze do niewiast usposobić; to także mogło być przyczyną ich początkowej rezerwy, o czym wspomina Marek. I rzeczywiście, gdy powróciły do miasta i „mówiły to apostołom, słowa te zdawały się im niedorzecznością i nie uwierzyły im” (Łk 24, 11).

Giuseppe RICCIOTTI

Migawki emigracyjne

SUKCES J. BOJANOWSKIEGO. Na dorocznym międzynarodowym konkursie muzycznym „Carillion” czyli grających dzwonów, jak¹ odbył się w Royal Carillion School w belgijskim mieście Mechelen, już po raz drugi w ciągu czterech lat nagrodę zdobył Jerzy Bojanowski, dyrygent i kompozytor z Milwaukee. Jego nagrodzona kompozycja pt. „Meditation C Stance” wykonana została na grających dzwonach kościoła St. Rombold w Mechelen. Warto też dodać, że w końcu września ubr. grające dzwony na Marine Plaza w Milwaukee przez cały tydzień wygrywały co godzina wiązankę ośmiu polskich melodii w układzie Bojanowskiego. . .

KAPŁANI DLA HARCERSTWA POLSKIEGO. W polonijnym harcerstwie Brazylii jest od wielu lat bardzo czynna grupa kapłanów z ks. Stefanem Kucharskim na czele, odznaczonym niedawno za swoją pracę społeczną. W okręgu Rio Grande de Sul należą do komendy harcerskiej księża: Zenon Gąsiorowski, b. prowincjał Księży Chrystusowców, Tadeusz Baniowski i Alojzy Lañner. Do przyjaciół harcerzy polskich zalicza się także ks. Daniel Niemiec, proboszcz parafii Santana.

SREBRNY JUBILEUSZ W ANTWERPII. Polacy w Antwerpii (Belgia) uroczystie świętowali 25-lecie powstania Polskiego Stowarzyszenia Katolickiego. Jest to organizacja, która powstała po wojnie z inicjatywy b. studentów polskich, wysłanych z antwerpskich uczelni. W jej ramach istnieją dwie sekcje: Stowarzyszenie Mężów Katolickich oraz Bractwo Żywego Różańca, którego organizatorem był również ks. dr Karol Brzezina. Z okazji srebrnego jubileuszu 29 lutego została odprawiona Msza św. Przewodniczył jej ks. H. Repka, rektor, wraz z ks. Andrzejczakiem, ks. Kurowskim i ks. Domlnem. W następną niedzielę Mszy św. jubileuszowej przewodniczył ks. bp Daems, ordynariusz diecezji antwerpskiej. W homilii wspominał o przyjaźni jaka go łączy z biskupami polskimi i wyraził uznanie dla postaci ks. kard. Wyszyńskiego, Prymasa Polski. W czasie akademii ks. rektor Repka wręczył zaszczytnym działaczom odznaczenia, przyznane przez ks. bpa Rubina, w imieniu Episkopatu Polski.

CHRZEŚCIJANIE W ŚWIECIE

Chrześcijanie nia różnią się od innych ludzi ani krajem, ani mową, ani obyczajami. Bo nie zamieszkują gdzieś państw własnych, ani nie posługują się odmiennym językiem, ani też nie wiodą niezwykłego trybu życia. Ich nauka nie została wynaleziona jakimś dociekaniem umyśłów ludzi ciekawych. ani też nie powołują się oni na ludzkie stwierdzenia, jak czynią to niektórzy. Ale zamieszkują kraje greckie czy barbarzyńskie, jak komu los zdarzył, zachowują miejscowe zwyczaje dotyczące odzienia, pożywienia i innych form życia, ukazując nam dziwny i niemalże niepojęty sposób swego życia:

Zamieszkują swe ojczyzny, ale jakoby przybysze;
jako obywatele mają wszystko wspólne z innymi, lecz we wszystkim cierpią jakby byli obcy;

każda obca kraina staje się im ojczyzną, lecz każda ojczyzna jest obca;
żenią się jak wszyscy, rodzą dzieci, lecz zrodzonych nie porzucają;
uczestniczą we wspólnym stole, ale nie łożu;
przebywają w ciele, ale żyją nie według ciała;
pędzą życie na ziemi, lecz są obywatelami nieba;
podlegają określonym prawom, lecz sposobem swego życia przewyższają je;

miłują wszystkich, lecz przez wszystkich są prześladowani;
są nie zauważani, ale potępiani;
karze się ich śmiercią, lecz oni wracają do życia;
sami biedni, lecz ubogacają wielu;
wszystkiego im brak, a jednak obfitują we wszystko;
są poniatani, ale poniewierka jest ich chwałą;
są lżeni, ale objawia się ich sprawiedliwość;
są przeklinani, a mimo to błogostawiają;
potwarzają ich, a jednak są szanowani;
czynią dobrze, a karzą ich jak złoczyńców;
cieszą się karami, jakoby odrodzeni;
Żydzi zwalczają ich jakoby obcych, Grecy ich prześladowają; lecz ci, co ich nienawidzą nie mogą podać przyczyny swej nienawiści do nich;

Krótko mówiąc: czym w ciele dusza, tym chrześcijanie na świecie.

Dusza rozsiana jest po wszystkich członkach, a chrześcijanie po państwach świata.

Dusza mieszka w ciele, a jednak nie jest z ciała; podobnie chrześcijanie: mieszczą w świecie, lecz nie są z niego.

Niewidzialna dusza strzeżona jest światem. Poznaje się ich, bo żyją na świecie; świat widzialna jest ich pobożność.

Ciało nienawidzi duszy i zwalczają ją, a tylko dlatego, że wzbrania mu się. Ci, którzy nie widzi chrześcijan nie doznawszy żądania, nie opowiadają się jego rozkazom.

Lecz dusza miłuje nienawidzące ją ciała, a chrześcijanie miłują tych, którzy ich prześladowają.

Dusza jest wprawdzie zamknięta w ciele; i chrześcijanie są na świecie, ale nie są z niego; oni zachowują świat.

Dusza niesmiertelna mieszka w ciele, a jednak nie mieszka w ciele; nie zamieszkują wśród rzeczy ziemskiej, która jest w niebie.

Dusza doskonali się, gdy jest złe; i chrześcijanie doświadczyli tego; i chrześcijanie doświadczyli tego.

Bóg postawił ich na tak, że nie mogą z niego uciekać. (...)



Pasja życia

Samolot jednosilnikowy, Gardan GY 160, przelatuje nad cudowną równiną, na południe od Marakesz. Z daleka rysują się już szczyty marokańskiego Atlasu. Pilotuje 29-letni Andrzej Crepy, zdrowy, dobrze zbudowany mężczyzna. Mając 18 lat został pilotem. Jest dumny ze swego samolotu. Pochodzi ze skromnej rodziny, a swoją karierę rozpoczął jako sprzedawca gazet. Potem stał się reprezentantem, a dziś jest już najmłodszym radcą do spraw reklamy we Francji. Dorobił się własnego biura, które zatrudnia 56 osób. Pasażerką samolotu jest jego żona Katlin, uroczą 19-letnią Węgierka, gimnastyczka. Od roku zaledwie są małżeństwem.

Samolot leci na wysokości 3700 metrów, trzeba osiągnąć pułap 4300 metrów, bo góry są coraz bliżej. Andrzej Crepy uruchamia przyrząd, ale ten odmawia posłuszeństwa. Nagle pod wpływem nerwowego ruchu łamie się rączka. Obroty silnika zmniejszają się. Od tego momentu wypadki biegą bardzo szybko. Crepy usiłuje jeszcze lądować... Maszyna coraz gwałtowniej spada w dół i z ogromną siłą uderza w zbocze góry. Andrzej zostaje wyrzucony na odległość pięciu metrów — pas bezpieczeństwa nie wytrzymał napięcia. Tragicznym efektem jest złamany kręgosłup. Katlin leży bliżej kabiny, ona też ma złamany kręgosłup, ale może jeszcze poruszać nogami.

Z katastrofy wyszedł cało jedynie przewodnik marokański, Mahdi, który zajmował miejsce z tyłu, Mahdi odpiął pas bezpieczeństwa i w stanie pełnego szoku psychicznego wydostaje się ze stosu żelastwa. Wyrusza po pomoc. Po 36 godzinach przybwa ekipa ratunkowa. Andrzej i Katlin zostają odtransportowani do szpitala w Marakesz a stamtąd do szpitala Raymond-Poincaré w Garches. Święty chirurg, doktor Grossier natychmiast przystępuje do operacji.

Werdykt lekarza brzmiał jak straszny wyrok: po dłuższej reedukacji Katlin będzie mogła chodzić, ale Andrzej pozostanie sparaliżowany i skazany do końca życia na wózek inwalidzki.

— Decyzja lekarza — wspomina Andrzej Crepy — była dla mnie gorsza od wyroku śmierci. W wieku 30 latka, po roku małżeństwa, zostałem inwalidą. Prowadząc dobrze prosperujący inte-

res, nie mogłem nawet wejść po schodach do własnego biura. Zakochany w pilotażu, nie mogłem już marzyć o pasji mojego życia. Przykuty do łóżka przysięgłem sobie, że popełnię samobójstwo.

Walka o powrót do życia

Nadzieję powrotu do zdrowia wściepiła Andrzejowi żona, Katlin. Wszyscy lekarze oświadczyli młodej kobiecie, że kariera gimnastyczna jest bezpowrotnie skończona. Tymczasem Katlin po powrocie ze szpitala, prowadzi z takim zapałem swoją reedukację, że w trzy lata później jest w pełni sprawną sportsmenką. Zostaje włączona do reprezentacji Francji na Mistrzostwa Świata w gimnastyce artystycznej.

— „Zmartwychwstanie” Katlin było dla mnie olbrzymim bodźcem — oświadcza Andrzej. — Zdecydowałem, że za wszelką cenę usunę skutki mojego inwalidztwa. Poprosiłem o zwolnienie ze szpitala, w którym miałem pozostać jeszcze dwa lata. Po sześciu miesiącach kuracji klinicznej byłem znów w domu.

Opuściwszy szpital Andrzej staje wobec poważnych kłopotów. Dzięki osobistemu kierownictwu Andrzeja, agencja reklamowa prosperowała doskona-



le. W czasie jego nieobecności kierowali nią zastępcy, mniej jednak dynamiczni i przedsiębiorczy od samego właściciela. Firma zbankrutowała. Crepy otrzymał rentę inwalidzką w wysokości 2000 franków miesięcznie. Katlin przyjęła posadę nauczycielki gimnastyki. Warunki finansowe młodego małżeństwa nie były nadzwyczajne.

Andrzej spędzał czas w domu. Znużony był swoją bezczynnością. Przerabia układ kierowniczy swego samochodu tak, że może go prowadzić jedynie za pomocą rąk. Jest unieruchomiony w swoim wózku. Prawie każdego dnia zjeżdża windą z piątego piętra. Andrzej świetnie daje sobie radę z chodzeniem na rękach. Dzięki tej umiejętności może samodzielnie zająć miejsce w samochodzie. Odbywa długie wycieczki. Jednocześnie stwierdza z satysfakcją, że jest coraz silniejszy.

Pewnego dnia, zimą 1971 roku, Andrzej i Katlin wybrali się do aeroklubu w Mureau, 50 km od Paryża. Na widok samolotów odzywa się w Andrzeju dawna pasja. Ale w oczach przyjaciół klubowych wyczuje jedynie współzucie. W końcu jeden z nich powiedział:

— Mój biedny Andrzeju, niestety musisz pogodzić się z tym, że lotnictwo jest dla ciebie skończone.

To brzmi jak wyzwanie. Andrzej decyduje się je podjąć. Kiedw przychodzi ponownie do klubu, jeden z mechaników, Bernard Morin, po długim namyśle powiada:

— Przemodelowanie systemu kierowniczego dla ciebie jest technicznie możliwe. Cały problem polega na tym, by mechanizm nożny, czyli gaz i hamulce podnieść na wysokość rąk.

Po rozpatrzeniu sprawy, Andrzejowi udaje się przekonać kierownika klubu, Józefa Ampoullier. Otrzymuje stary samolot...

Morin pracował nad projektem, który Crepy przekazał przedsiębiorstwu Legrand, specjalizującego się w adaptacji samolotów dla inwalidów. Szef warsztatu zapalił się do tej pracy. Po ośmiu dniach zmiana systemu kierowniczego w samolocie była gotowa. Samolot wyposażony był w dwa systemy: wyłącznie ręczny — dla Andrzeja i drugi, który pozostał bez zmian — dla monitora. Eksperyment udał się i w ten sposób powstał pierwszy samolot szkoleniowy na użytek inwalidów.

(dokończenie na str. 12)

(dokończenie ze strony 11)

Przewyciężywszy wiele trudności Crepy mógł znów latać. Swoją pasją „zaraził” innych. Powstało Stowarzysze nie Lotnicze Inwalidów. Kiedy organizację zalegalizowano, na lotnisku w Mureaux zgłaszają się pierwsi członkowie. Dawni piloci, teraz dotknięci trwałym kalectwem, wracają do swego zawodu, stają się pełnowartościowymi członkami społeczeństwa.

Andrzej rozpoczyna działalność. Nawiązuje kontakt ze Służbą Drogową. Proponuje stworzenie grupy obserwacyjnej. Zadanie takiej grupy polegałoby na powietrznej kontroli dróg, oczywiście w kontakcie z policją.

14 sierpnia 1974 roku Andrzej Crepy przybywa do Narbonne i otrzymuje pierwsze polecenie. Jego przełożonym jest komendant Clement Rouet. Przez dwa tygodnie, w wyniarze osiem godzin dziennie, ma kontrolować ruchliwą autostradę zmierzającą w kierunku granicy hiszpańskiej.

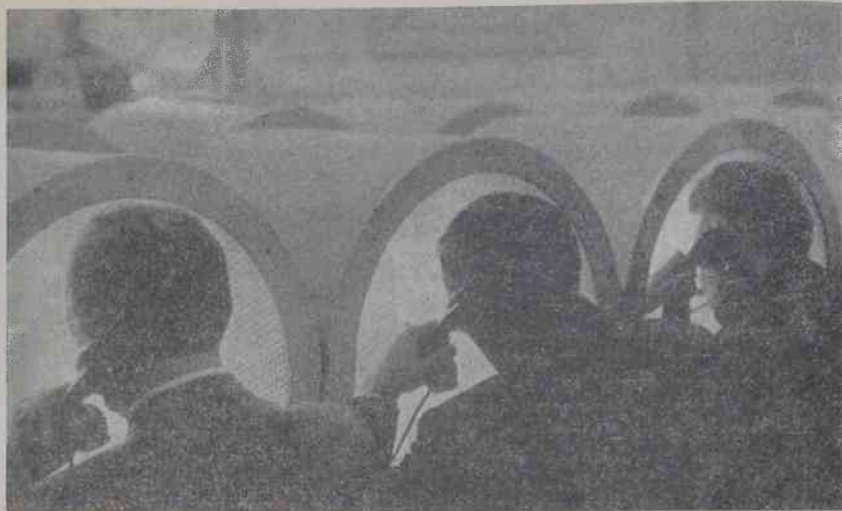
Pewnego dnia zdarza się tragiczny wypadek — zderzenie samochodów. Ofiarą wypadku jest kobieta. Jej stan jest bardzo ciężki. Andrzej niezwłocznie alarmuje. Policja drogowa oraz pogotowie ratunkowe przybywa na miejsce wypadku. Dzięki błyskawicznej akcji — uratowano życie człowieka.

Innym znów razem Crepy, przelatując wzdłuż wybrzeża morza Śródziemnego zauważył turystę opalającego się na materacu, którego wiatr zniósł na pełne morze. Drogą radiową zawiadomiła władze i towarzyszy pływakowi aż do momentu zjawienia się łodzi ratunkowej.

Zajęcie Andrzeja jest sezonowe, w okresie miesięcy letnich. Czekając na lato państwo Crepy nie są bezczynni. Mieszkają w swoim małym mieszkanku w Courbevoie pod Paryżem. Wspólnie przygotowują do druku książkę, w której Andrzej zawarł swoje tragiczne wspomnienia. Książka będzie nosiła tytuł: „A teraz — lataj!” Dla ludzi, przykutych do wózka inwalidzkiego w stanie psychicznego załamania, zdanie to stało się czymś więcej niż dewizą życiową. Przywróciło nadzieję i miejsce w rzeczywistości.

Nicolas POULAIN

Noc pełna niepokoju



Mieszkamy z żoną na przedmieściu Nowego Jorku. Pewnego letniego wieczora siedzieliśmy w swoim mieszkaniu. Oglądaliśmy dziennik telewizyjny. Była godzina 22. W pewnej chwili usłyszeliśmy komunikat, który brzmiał: „Donlesiono nam z nieoficjalnych źródeł, że samolot linii radzieckich, wiozący wczasowiczów z Soczi, jednego z największych kąpielisk nad Morzem Czarnym, uległ katastrofie w czasie lądowania na lotnisku Wnukowo pod Moskwą. Wśród innych pasażerów na pokładzie samolotu znajdowali się turyści amerykańscy”.

Byłem przerażony. Hank, nasz 21-letni syn był właśnie na 16 dniowej wycieczce w Związku Radzieckim.

W połowie komunikatu Thelma chyła mnie kurczowo za rękę. Wysłuchawszy do końca, bez słowa przeszła do pokoju Hanka. Poszedłem za nią. Żona miała w ręku plan wycieczki, który syn ustalił przed odjazdem i zostawił na biurku:

Poniedziałek: Zwiedzanie Soczi, portu czarnomorskiego, przyjmującego rocznie około 11 tys. turystów.

Wtorek: Zwiedzanie jednego z kolchozów. O 17.30 spotkanie na lotnisku Soczi i odlot do Moskwy.

Przerażona Thelma, wcisnięta w fotel, patrzyła na mnie wporczywie.

— Grupa Hanka być może znajdowała się w tym samolocie — powiedziała. — Jak się o tym dowiedzieć?

Niepokojny zastanawiałem się od czego zacząć. Spróbowałem się najpierw skontaktować z agencją podróży. Oczywiście bezskutecznie, była już dawno zamknięta. Później zwróciłem się do redakcji telewizyjnej z prośbą o bliższe wyjaśnienia dotyczące katastrofy. I tam nie uzyskałem dokładniejszych informacji. Poradzono mi, żebym skontaktował się bezpośrednio z agencją prasową. Zrobiłem tak, ale redaktor dzwurny także nic nie wiedział. Wyjaśnił mi tylko, że w ZSRR nie podaje się zwykle dokładnych danych dotyczących katastrof samolotowych, jedynie w wypadkach, kiedy na pokładzie znajdowali się pasażerowie zagraniczni, ale i wtedy wiadomość przekazywana jest po upływie doby.

Thelma z rękami skrzyżowanymi na kolanach wydawała się być jakby nieobecna. Powtórzyłem jej wszystko co usłyszałem.

— Więc nie dowiemy się niczego przez najbliższe 24 godziny — powiedział żona po chwili milczenia.

Zrozumiałem, że czeka nas ciężka próba, cała doba pełna paraliżującego niepokoju i strachu o życie naszego syna. Przypomniałem sobie wieczór, kiedy odprowadzaliśmy Hanka na lotnisko. Był świeżym absolwentem uniwersytetu i ofiarowaliśmy mu tę podróż zarówno z okazji dyplomu jak i jego urodzin. Odprowadzaliśmy go do samolotu, który odlatywał do Kopenhagi. Stamtąd miał odlecieć do Leningra-

du samolotem linii radzieckich Aero-
flot. Wracając myślami do tamtego wie-
czora, przypomniałem sobie, że Pan
American jest jedyną agencją lotniczą,
która dokonuje lotów do Związku Ra-
dzieckiego. Miałem nadzieję, że z tego
źródła uzyskamy jakieś informacje. Za-
nim zatelefonowałem, zdecydowaliśmy
oboje z żoną obejrzeć następne wyda-
nie dziennika telewizyjnego. Niestety
i tym razem powtórzono dokładnie ten
sam straszny komunikat.

Uzyskałem połączenie z Pan Am i
przedstawiłem raz jeszcze moją prośbę.
Urzędnik, świadomy co przeżywam,
odpowiedział mi, że rzeczywiście bio-
ro Pan Am w Moskwie przekazało wia-
domość o katastrofie, ale bez dodatko-
wych szczegółów.

Thelma dowiedziawszy się o tym za-
częła płakać, ale słuchając radziła mi
połączyć się z Ministerstwem Spraw
Zagranicznych w Waszyngtonie. Pro-
pozycja jak najbardziej słuszna, ale jak
ją zrealizować o tej porze. Zbliżała się
północ.

Pomyślałem w tej chwili o starym
przyjacielu w administracji rządowej.
On mógł mi pomóc, będzie z pewnością
wiedział gdzie należy się zwrócić. W in-
formacji telefonicznej podano mi wła-
ściwy numer telefonu. Polecono mi tak-
że, że mam się zwrócić do biura spe-
cjalnych usług konsularnych przy mi-
nisterstwie, bowiem tam dyżur trwa
dzień i noc.

Po kilku minutach połączyłem się z
urzędnikiem. Ten przyzwyczajony wi-
docznie od lat do przyjmowania niezli-
czonych rozpaczliwych apeli, starał się
mnie pocieszyć. Od niego też otrzyma-
łem numer ambasady amerykańskiej
w Moskwie.

Odłożywszy słuchawkę powiedzia-
łem żonie, że nasza męka niepewności
niedługo się skończy. Zaledwie to jed-
nak powiedziałem, moje obawy zwięk-
szyły się jeszcze bardziej.

W tej chwili była północ, czyli 7.30
rano w Moskwie. Nie wiedziałem czy
istnieje także nocny dyżur w ambasa-
dzie amerykańskiej. Wykręciłem nu-
mer usług międzynarodowych. Ogląda-
łem w filmach, że połączenia z zagra-
nicą są równie łatwe, jak wykręcenie
zegarynkę. Tymczasem czekałem pra-
wie pół godziny. Dyżurująca telefonist-
ka początkowo obojętnym głosem po-
informowała mnie, że połączenie z Mo-
skwą jest bardzo trudne do osiągnięcia.

— Proszę pani, to naprawdę bardzo
pilne — nalegałem.

I powtórzyłem nieznaną moją
straszną historię. Wysłuchawszy mnie,
obiecała ponowić swoje wysiłki i wez-
wać mnie, jeśli tylko uzyska połącze-
nie. Jej głos uległ nagle zmianie. By-
łem teraz w kontakcie z kłmś bardzo
mi życzliwym i rozumiejącym moją sy-
tuację.

Długo czekałem na telefon. W koń-
cu usłyszałem: „Niestety, Moskwa jest
nieosiągalna. Być może uszkodzone jest
połączenie”. Usiłowała mnie jednak po-
cieszyć, mówiła, że wszystko będzie do-
brze.

— Jestem spod znaku Bliźniąt, a Bli-
źnięta mają doskonałą intuicję — do-
kończyła.

Powtórzyłem rozmowę Thelmie, któ-
ra zaledwie mnie słuchała. Patrzyła na
mnie z uporem i potrząsała głową, jak-
by straciła resztki nadziei.

Po godzinie nasza informatorka za-
dzwoniła ponownie i oznajmiła:

— Nie mogę nadal połączyć się z Mo-
skwą. Robimy co w naszej mocy. Pró-
bowaliśmy uzyskać połączenie przez
Londyn i Paryz, ale bez rezultatu. W
obu tych miastach poinformowano nas,
że nadal nic nie wiadomo o katastro-
fie. Zapewniamy jednak, że będziemy z
panem w ciągłym kontakcie.

Była prawie trzecia nad ranem! Na-
sze myśli były skoncentrowane na linii
telefonicznej. Radłowa informacja jesz-
cze raz potwierdziła wiadomość. Nie
mogliśmy zasnąć. Czuwaliśmy jak na
warcie. Od czasu do czasu przygotow-
wałem kawę, a żona, z zaczerwionymi
od łez oczyma, nie ruszała się z fotela
Hanka. Wydawała się być przekonana,
że z chwili kiedy opuści pokój sypnia,
zostanie między nimi przerwana jakaś
więź.

Przypomniałem sobie z jakim stara-
niem przygotowywała podróż syna.
Przeczytała kilka książek na temat
ZSRR, nauczyła się najbardziej obiego-
wych słów rosyjskich i przestuchała
płytę ze szkoły Berlitz. Te płyty wciąż
były w pokoju Hanka.

Zaczynał się nowy dzień. Mimo, że
nie traciłem nadziei, nawiedzały mnie
straszne myśli. Jak przeżyjemy to,
gdy zdarzy się najgorsze.

Około 6 rano zadzwoniła nasza tele-
fonistka:

— Mam Moskwę — powiedziała ra-
dosnym głosem.

Po chwili połączyła mnie z ambasa-
dą Stanów Zjednoczonych. Drżącym
głosem zapytałem:

— Czy to prawda, że we Wnukowie
zdarzyła się katastrofa lotnicza?

— Tak, prawda.

— Czy na pokładzie znajdowali się
obywatele amerykańscy?

Z biciem serca czekałem na odpo-
wiedź. Thelma podeszła do mnie.

— Nie, na pokładzie samolotu nie
było Amerykanów — odpowiedziała pa-
ni z ambasady.

Łzy radości stanęły mi w oczach. Po
chwili wykrztusiłem:

— Myślałem, że mój syn znajdował
się na pokładzie właśnie tego samolo-
tu.

— Proszę podać nazwisko syna.

— Hank Weisinger — odpowiedzia-
łem i dodałem niespokojny — Dlaczego
pani pyta o jego nazwisko, skoro
jest pani pewna, że nie leciał tym sa-
molotem?

— Ponieważ będąc mogła panu powie-
dzieć, którym w ogóle leciał samolo-
tem. Proszę chwilę poczekać.

Znów opanował mnie niepokój. Ale
młoda kobieta wkrótce odezwała się i
powiedziała:

— Rzeczywiście, grupa, w której
znajdował się Hank Weisinger była za-
rejestrowana w ambasadzie. Polcieli
jednak innym samolotem. Cieszę się
razem z panem, że mogłam podać ra-
dosne wiadomości.

Poszedłem do Thelmy. Padliśmy so-
bie w objęcia. Kilka minut później
znów zadzwonił telefon. To była na
pewno telefonistka spod znaku Bli-
źniąt.

— Serdecznie dziękuję pani za wszy-
stko, właśnie rozmawiałem z ambasa-
dą.

— Wiem, ale pański syn?

— Cały i zdrowy. Nie był w samolocie,
który uległ wypadkowi. Pani nie jest
telefonistką, która łączyła mnie z Mo-
skwą — dodałem.

— To prawda, proszę pana, koleżar-
ka skończyła właśnie dyżur. Ale wie-
działśmy o wszystkim i modliłyśmy
się w intencji pańskiego syna.

Oto co usłyszałem.

Usiedliśmy z żoną w kuchni, milczą-
cy, ale pełni radości. Słońce już za-
lewało promieniami pokój, a my wresz-
cie po nocy pełnej niepokoju, odnale-
źliśmy nasz spokój i równowagę. Na-
sze myśli były jednak daleko. Wkrót-
ce lotnisko Wnukowo poda wiadomość
o katastrofie. W całym kraju wiado-
sny nam, będzie z niepokojem o-
czekiwać dzwonka telefonu.

M Weisinger

Dwie twarze — jedna myśl

Stasia już na mnie mruczy:

— Wyglupiasz się z tymi filmami, jeszcze pomyślą nas! na Północy, że w tym Paryżu to Polacy tylko po kinach chodzą.

Dlatego tym razem muszę wam napisać o radości czytania, np. takiej KULTURY (wydawanej przez Institut Littéraire, pod dyrekcją J. Giedroycia z Maisons laffitte). W numerze 3 (342), obecnego roku, wspomniały artykuł M. Brońskiego, pt. „Rosyjska podróż de Custine'a”. Otóż Astolf de Custine, marzał francuski, wybrał się w podróż do ówczesnej Rosji carskiej i opisał swe wrażenia w czterotomowej księdze „Rosja 1839 roku” (La Russie en 1839, Paris 1843). Ale to co napisał „wypisz wymaluj” — pasuje jak ulał do Rosji 1976 roku!

Duży artykuł, ale zacytuję tylko dwa wyjątki: „W drodze do Rosji de Custin zatrzymał się w Lubecie; oberżysta, do wiedziałwszy się o celu podróży, próbując go odwieść od tego zamiaru, twierdząc, że Rosja jest „złym krajem”. Następnie poniższy dialog:

— Zna pan Rosję? — spytałem go.
— Nie, ale znam Rosjan; wielu z nich

przejeżdża przez Lubekę, a ja oceniam kraj po twarzach jego mieszkańców.

— Cóż pan takiego widzi w wyrazie ich twarzy, co miałyby nimie skłonić do zaniechania wizyty u nich?

— Monsieur, oni mają dwie twarze; nie mam na myśli lokajów, którzy mają tylko jedną, mówię o panach: gdy przybywają tu w drodze do Europy mają miny wesołe, swobodne, zadowolone; to konie, co wyrwały się na wolność, ptaki, którym otwarto klatkę. Mężczyźni i kobiety, młodzi i starzy, wszyscy są szczęśliwi, jak uczniowie na wakacjach; ci sami ludzie w drodze powrotnej wyglądają smutno, ponuro i niespokojnie; mówią niewiele, wyrażają się sucho; czoła mają zatroskane; z różnicy tej wynoszę, że kraj skąd wyjeżdża się z taką radością i dokąd powraca się z taką niechęcią, jest złym krajem” (str. 44).

Miałem okazję to stwierdzić. Wyznam jak na spowiedzi. Stasia wie o tym! Miałem rodzinę z Polski u siebie. Młodzież była ciekawa „życia nocnego” Paryża. Wyciągnęli mnie starego na kolację do „Rasputina”. Najlepszy to był tam barszcz i wódka polska z

lodu, bo muzyka to więcej cygańska, a na „pięknosci” nie wypadło żonatomu wiele patrzeć (trzeba dać przykład młodzieży). Miałem czas za to obserwować towarzystwo rozbawionych Rosjan przy sąsiednim stoliku. Butelka za butelką gonila — „Moskowskiej” — polskiej nie chcia!; z rozmów i strojów wynikało, że nie ze starej emigracji, ale z czerwonej burżuazji, jacyś konsularni dyplomaci radzieccy. I traf chciał, że odprowadzając moich na Gare du Nord, do pociągu Paryż — Moskwa, zobaczyłem tych urzędników znowu. To już nie byli ci sami rozbawieni „uczniowie na wakacjach”! — Mieli „drugą twarz” — poszarzała, ponura i niespokojna... Jak to historia dziwnie się powtarza.

A już najlepsze jest zakończenie tej książki, które powinny wszystkie mądre pisma francuskie umieścić na pierwszej stronie i grubymi literami:

„Gdy syn wasz będzie niekontent we Francji, użyjcie mojej recepty, powiedzcie mu: „Jeźdź do Rosji”. Użyteczna to podróż dla każdego cudzoziemca; ktokolwiek pozna ów kraj, rad będzie mieszkać gdziekolwiek indziej. Zawsze korzystne jest wiedzieć, że istnieje społeczeństwo, w którym żadne szczęście nie jest możliwe, bowiem z racji prawa swojej natury człowiek nie może być szczęśliwy bez wolności” (str. 60).

I dlatego ks. Prymas w przemówieniu radiowym z okazji 200-lecia Stanów Zjednoczonych powiedział do naszych rodaków zza Oceanu: „Muszę najpierw wyrazić swą radość z wolności ludzi, którzy mogą urządzić się swobodnie u siebie. To jest radość, której opisać się nie da...”

Dlatego nie usiłuję. Tylko jedna myśl się nasuwa: Obyśmy przynajmniej my, Polacy, żyjąc w wolnych krajach, nie przykładali ręki do zwycięstwa systemów, które niewolą miliony.

Parzyżanin

ŚWIĘCONE W DEREZYNIE

W jednym z starych kalendarzy polzańskich znajduje się następujący opis, bez daty, zdaje się jednak, że z czasu panowania Władysława IV:

Wojewoda Sapieha w Derezyńskie takie wyprawił święcone, na które zjechało się co niemiara panów z Litwy i Korony. Na samym środku był baranek wyrażający *Agnus Dei*, z chorągiewką, calutki z pistacjami, a ten specjał dawano tylko damom, senatorom, dygnitarzom i duchownym. Na stole stało 4 przeogromnych dzików, to jest tyle, ile części roku. Każdy dzik miał w sobie same wleprzowiny, *alias* szynki, kiełbasy, prosięta *etc.* Kuchmistrz najcudniejszą pokazał sztukę w upieczeniu tych całkowitych odynców. Stało *tandem* 12 jeleni, także całko upieczonych, z złocistymi rogami, całe do admirowania, nadziane były rozmałą zwierzyną, *alias* zającami, cietrzewiami, drozdzami, pardwiami. Te jelenie wyraża-

ły 12 miesięcy. Naokoło były ciasta sążniste, tyle, ile tygodni w roku, to jest 52, całe cudne placki, mazury, żmudzkie pierogi, a wszystkie wysadzane bakalią. Za nimi było 365 babek, to jest tyle, ile dni w roku, a przy nich 8760 jaj pisanek, to jest tyle ile godzin w roku. Każde było adorowane inskrypcjami, floresami, że niejedyn tylko czytała a nie jadła. Co zaś do bibiendy — były 4 puchary, *exemplum* 4 por roku, napełnione winem jeszcze od króla Stefana. *Tandem* konewek 12 srebrnych z winem po królu Zygmuncie; te konewki *exemplum* 12 miesięcy. *Tandem* 52 baryłek, także srebrnych, *in gratiam* 52 tygodni; było w nich wino cypryjskie, hiszpańskie i włoskie. Dalej 365 gąsiorów z winem węgierskim, *alias* tyle gąsiorów, ile dni w roku. A dla czeladzi dworskiej 8760 kwart miodu robionego w Berezie, to jest tyle, ile godzin w roku.

Bierzemy udział

W PIELGRZYMCĘ
do
PARAY LE MONIAL

15 -- 17 maja 1976